

Cichocki, Gawin, Karłowicz o Krzysztofie Komedzie

Lata 60. XX wieku, w których tworzył Krzysztof Komeda, stały się klasyczną epoką dla naszej współczesnej kultury. Klasyczną w eliotowskim sensie, czyli jako miara doskonałości – słyszymy w telewizyjnej rozmowie Marka A. Cichockiego, Dariusza Gawina i Dariusza Karłowicza. Jej pełny zapis publikujemy w Teologii Politycznej Co Tydzień: „PolskiJazz®”.

Felieton programu *Trzeci Punkt Widzenia*: Agnieszka Osiecka pisała, że kiedy Komeda grał na fortepianie jego dłonie opowiadały małe, kameralne historie nieba dla dwojga osób. Niedawno ukazała się biografia *Komeda. Osobiste życie jazzu* autorstwa Magdaleny Grzebałkowskiej, która opowiada o życiu i twórczości artystycznej Krzysztofa Komedy, a właściwie Trzcińskiego, o życiu którego w zasadzie wiadomo niewiele. Jego talent wybuchł w drugiej połowie lat 50, kiedy w Polsce można było oficjalnie grać jazz. Autorka pisze, że Komeda był małomówny, nieśmiały, wycofany, przez niektórych określany wręcz jako mruk. Zawsze żył na uboczu, nikomu się nie zwierzał i żył w swoim własnym świecie, wypełnionym piękną muzyką. Krzysztof Trzciński urodził się w Poznaniu w 1931 roku. W wieku 8 lat został przyjęty do konserwatorium, jednak wojna pokrzyżowała jego plany. Po wojnie za namową matki skończył studia medyczne. W 1956 założył zespół jazzowy Komeda Sekstet, zaprosił do współpracy Jana Ptaszyna Wróblewskiego i Jerzego Miliana. Zespół odniósł spektakularny sukces na pierwszym festiwalu jazzowym w Sopocie.

Komeda za życia wydał 9 płyt. Jako muzyk wywarł na ukształtowanie się oryginalnego stylu określanego jako „polska szkoła jazzu”, napisał muzykę do 65 filmów. Pierwszym była etiuda filmowa Romana Polańskiego *Dwaj ludzie z szafą* z 1958 r. Jego ostatnia muzyka powstała także do filmu Romana Polańskiego *Dziecko Rosemary* z 1968 r. z którego pochodzi kultowa dzisiaj *Kołysanka*. Komeda zmarł w 1969 r. w Warszawie.

Dariusz Gawin: Książka Magdaleny Grzebałkowskiej *Komeda. Ostatnie życie jazzu* sprawiła mi wielką, osobistą przyjemność, bo bardzo lubię tę postać polskiej kultury. Mam sporo płyt z jego muzyką, oglądam jego filmy – nie tylko te bardziej popularne, jak *Niewinni czarodzieje* Wajdy, ale też na przykład film Morgensterna *Jutro premiera*. Znakomita muzyka, choć film już dzisiaj mniej pamiętany. Muzyka i film to bardzo dobre połączenie, bo przenosi atmosferę czasów, w tym wypadku to jest nastrój lat 60., bo 11 lat jego aktywności przypada na tę właśnie epokę. Książka Grzebałkowskiej jest naturalnie przede wszystkim biografią, znajdziemy w niej bardzo dużo anegdot, informacji, niewątpliwie ludzie interesujący się jego życiem i tą epoką znajdą w niej bardzo dużo smaczków. Zapamiętałem z niej na przykład ciekawą anegdotę, skąd wziął się pseudonim artystyczny Trzcńskiego – Komeda. Są wprawdzie różne wersje, ale za każdym razem odnoszą się do tego samego wydarzenia: gdy był dzieckiem, bawił się w policjantów i złodziei albo w wojnę i zakładał „komendy”. Jednak nie umiał jeszcze dobrze pisać, więc wychodziła albo „komęda”, albo „komeda”. Dzieci się śmiały z niego, a on jak na złość wziął to jako swój pseudonim i pod nim stał się sławny. Jest w książce bardzo dużo informacji o epoce, o latach 60. i wydaje mi się, że jest to wyjątkowa epoka, dlatego, że ona z

perspektywy czasu stała się klasyczna dla naszej współczesnej kultury. Klasyczna w takim eliotowskim sensie, to znaczy jako miara doskonałości, to są rzeczy które były zrobione w sposób doskonały na początku tej epoki, którą uznajemy za swoją. To jest przecież architektura, kino, muzyka, szkoła plakatu, design... Wielka epoka! Skąd się brała ta nieprawdopodobna energia tamtego pokolenia?

Marek Aleksander Cichocki: To pokolenie to fenomen. To jest też czas wielkiego wybuchu kreatywności i to jest rzecz zupełnie bezdyskusyjna. Myślę, że właśnie dlatego biografia Grzebałkowskiej zaczyna się nie tak jak typowa biografia. Biografie zwykle zaczynają się od daty urodzenia, portretu rodziców, opisu miasta w którym przychodzi się na świat, szkoły, kolegów, podwórka... A tutaj historia zaczyna się od pierwszego festiwalu jazzowego w sierpniu 1956 roku, od legendarnego festiwalu w Sopocie, którego konferansjerem i mistrzem ceremonii był Leopold Tyrmand. Kluczowe słowo to jazz: jeszcze kilka lat wcześniej, w okresie stalinizmu, był grany w katakumbach, teraz wychodzi na powierzchnię. Moment jest znaczący: sierpień 1956 r. czyli dokładnie dwa miesiące po krwawym Poznańskim Czerwcu '56 i dwa miesiące przed Październikiem. I w tym momencie dzieje się coś takiego, do Sopotu przyjeżdża 50 tys. ludzi, śpią na plażach i na wydmach, grają i słuchają jazzu. To jest sytuacja zupełnie niebywała jak na ówczesne czasy. Owszem, trzeba było się z tym jazzem jeszcze asekurować, mówić, że nie jest to muzyka straszliwych amerykańskich imperialistów tylko „uciskanych Murzynów”, ale tama pękła i na scenę wychodzi cała armia wspaniałych zupełnie artystów: to jest Komeda, ale także Milian, „Duduś” Matuszkiewicz, Kurylewicz, Ptaszyn Wróblewski, Karolak, Warska.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.
Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Dariusz Karłowicz: Dodajmy, że to jest taki jazz, który nie jest wydarzeniem lokalnym z bloku wschodniego, nie jest czymś obciachowym, podrzędnym. Oni potem w Hollywood i w Stanach Zjednoczonych spotykają się z amerykańskimi jazzmanami i okazuje się, że ten przedwojenny jazz i ten, który eksplodował w Polsce to są rzeczy absolutnie pierwszorzędne, nadające ton muzyce światowej. To jest taki moment, w którym rzeczywiście to oni decydowali o charakterze i o pulsie muzyki rozrywkowej na najwyższym światowym poziomie. Jak to się stało? To jest bardzo dobre pytanie. Słowo odwilż jest tu kluczowe, moim zdaniem coś się po prostu odmroziło. Bardzo szybko zamroziło się powtórnie, przynajmniej w polityce, bo już właściwie w rok później zniknęła redakcja „Po prostu”, wszystkie te marzenia dotyczące zmiany politycznej okazały się całkowicie płonne, ale to co „się odgięło” w kulturze nie pozwoliło się potem cofnąć na tory sprzed odwilży. To jest okres nadzwyczajnego rozkwitu rozmaitych rzeczy. Chociaż trzeba pamiętać, że myślimy o tym jak o jakimś renesansie, *akmé* i szczycie, jakiejś oazie kreatywności i twórczej wolności, ale wystarczy spojrzeć do dzienników i korespondencji z epoki żeby dostrzec, że to był koszmarne czas. Artyści czuli się strasznie i to bardzo warto dzisiaj przypominać, zwłaszcza że często powstaje taki sentymentalny obraz tamtych czasów. To była eksplozja twórczości wbrew polityce, a nie dzięki polityce.

D.G.: Tak, to prawda. Chociaż z drugiej strony też trzeba pamiętać, że Polska była kompletnie inna od tych krajów obozu demokracji ludowej. Za tamtych czasów mówiono o najweselszym baraku, co oczywiście w

Polsce to się spotykało z krytyką. Gomułka wrzeszczał, że film *Niewinni czarodzieje* pokazuje życie lumpów, a przecież tam Komeda grał samego siebie. Kiedy jednak poczytywałem sobie dzienniki Rakowskiego, to w tym samym czasie Chruszczow potrafił wygadywać straszne bzdury na temat sztuki abstrakcyjnej, krytykować poetę Jewtuszenkę po nazwisku... Gomułka mógł się wściekać, ale przynajmniej pozwalał robić te filmy i one zostały. To było wbrew niemu, ale to jednak zostało.

M.A.C.: W książce Grzebałkowskiej jest również ciemny ton, o którym warto coś powiedzieć. Jest on oczywiście związany z tragicznym końcem życia Komedy u progu wielkiej Hollywoodzkiej kariery po *Dziecku Rosemary* Polańskiego, do której napisał słynną *Kołysankę*. Nie wiadomo, jak dalej potoczyłaby się jego kariera, byłaby bez wątpienia wielka, ale jest też szerszy kontekst tej śmierci. Komeda bardzo wcześnie fascynował się tymi zmianami, które zachodziły w Ameryce w latach 60., rewolucją kulturową i nową Ameryką. Z tej książki dowiadujemy się nie tylko, że razem z Polańskim fascynował się falą „dzieci kwiatów”, ale także ścigali się razem na torze w Santa Monica i w tym było igranie z niebezpieczeństwem, ciemną stroną rzeczywistości. Na to nałożyło się i satanistyczne *Dziecko Rosemary*, i straszliwe morderstwo Sharon Tate i innych znajomych Polańskiego i Komedy, wreszcie śmierć samego Komedy i przyjaciół z tego kręgu jak chociażby Marka Hłaski.

D.K.: Ten koniec jest rzeczywiście straszny i mroczny, rzeczywiście trudno uniknąć tego słowa: demoniczny. Na szczęście została piękna muzyka i tej nikt nam nie zabierze.

Rozmowa pochodzi z programu Trzeci Punkt Widzenia wyemitowanego na antenie TVP Kultura 3 czerwca 2018 r. Spisała Małgorzata Czajkowska.